TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"		DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"	
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie	$1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie	$2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi	1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi	2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 43. *Chicago, Ills., 22 Kwietnia, 1886 r.* Rok II.

OPACTWO CARROW

— PRZEZ —

J. F. SMITH

Z ANGIELSKIEGO

CZĘŚĆ DRUGA:

KWIAT ALOESU.

(Ciąg dalszy.)

— Za nic w świecie nie byłbym się na to zgodził; ten człowiek do mnie należy. Świadczę się niebem, że nienawidziłbym śmiertelnie każdego, ktoby stanął między mną a zemstą moją nad tym Indyaninem!... Joe, ty jesteś moim najpierwszym przyjacielem; Bóg dał mi był jeszcze drugiego, równie prawdziwego i przychylnego jak ty, ale już nie żyje, a ja nie będę też więcej innego szukał.

— Więc nie masz do mnie żalu, master Harry?

— Żalu, do ciebie? Niech ci raczej Bóg nagrodzi za twoją wierność i przywiązanie ku mnie, bo ja nie byłbym w stanie odwdzięczyć się ci za to!

Joe uczuł się sowicie wynagrodzonym temi serdecznemi słowy ukochanego panicza; wielki ciężar usunął się z jego serca, przez to, że jego przyjaciel sprawiedliwie osądził jego postępowanie.

W milczeniu szli dalej drogą.

Gospodarz Ashton i jego żona siedzieli

w swej izbie bawialnej według zwyczaju rozmawiając o bratanku, bo wspomnienie o nim było nieodstępne przy wszelkich pracach, a powrót jego ustawicznym przedmiotem rozmowy i modłów sędziwej pary. W tem drzwi się raptem otwarły i wszedł Joe Beans z twarzą zarumienioną i promieniejącą z radości.

— Ach, Joe! to ty? — przemówił gospodarz, — pragnąłem też widzieć się z tobą.

— Bez zaprzeczenia, i ja pragnąłem ujrzeć was oboje, — odpowiedział chłopak. — Przewiduję, że jestem najprzyjemniejszym gościem, jakiegoście dawno widzieli, kochani państwo moi.

— Cóż to ma znaczyć, mój kochany, czyś oszalał?

— Bo to, proszę państwa, ja się prawie lękam powiedzieć...

Nie masz nic przenikliwszego jak instynkt kochającej kobiety. Dzierżawczyni domyśliła się natychmiast, że Joe ma jakieś wiadomości o ich ukochanym synowcu.

— Masz list dla nas, chłopcze? — przemówiła.

— Nie, pani, nie mam listu żadnego.

— Nie, masz! -- powtórzyła ze smutkiem, — ja myślałam na pewno, że nasz Harry pisał.

W tem lekki szmer dał się słyszeć w przedpokoju, a Birdsey stary ulubiony pies dzierżawcy, zaczął radośnie skowyczeć. Gospodarz i żona jego przypomnieli sobie, że zwykle w ten sposób ostrzegał o przybyciu ich synowca, i zbledli oboje; błagalny prawie wzrok zwrócili na Joego, jakby chcieli go prosić, by zakończył ich niepewność, srozszą od zawiedzionej nadziei.

— Cieszcie się, mam wiadomości od panicza... — rzekł wreszcie poczciwy chłopiec, — tylko się bałem nagle państwu oznajmić.

— Przyjechał! — krzyknęła staruszka, której uwagę zwróciło powtórne skomlenie Birdsey'a. — Pewna jestem, że powrócił! Słyszysz, ojcze, jak stare psisko z radości skomli? Harry! Harry!

Na głos tej poczciwej kobiety, co mu nieznaną matkę zastępowała, bohater nasz nie mógł dłużej powstrzymać swych uczuć, wbiegł do izby, i jedną rękę podając stryjowi, drugą objął ciotkę, ściskając ją z synowskiem przywiązaniem.

— A niechże cię Bóg błogosławi, mój dobry Harry! — rzekł starzec ze łkaniem, — witajże nam, witaj! Bardzo nam tęskno było za tobą!

— Oj, bardzo tęskno! — powtórzyła matrona, — tęskniliśmy jak ociemniały za wzrokiem, jak chory za utraconem zdrowiem! Gdzieżby cię czulej witano, jak tutaj? Już nas więcej nie porzucisz, drogi Harry? — dodała patrząc nań z tkliwością i dumą macierzyńską. — Dom zawsze milszy nad obczyznę choćby był najuboższy, i chociaż nam się bardzo smutny wydawał bez ciebie!

— Dosyć już się najeździłem! — rzekł młodzian z westchnieniem, — zapewniam was, że już dobrowolnie Anglii nie opuszczę.

— Dzięki Bogu! — zawołał dzierżawca.

— Jakżeś pobladł, wynędzniał, wychudł, Harry! Może pieniądze przyczynią się w czem do twego uszczęśliwienia? My już starzy, nie wiele nam potrzeba; powiedz ile chcesz? bierz, drogi chłopcze!...

Maciej nic nie mówił; wiedział lepiej od żony, że smutek młodzieńca pochodzi z przyczyny, na którą pieniądze poradzić nie mogą...

Gdy przeszło wzruszenie pierwszego powitania, energia, która dotychczas wspierała młodego podróżnika, wśród tylu rozlicznych doświadczeń i wypadków, ustąpiła nareszcie przed przemagającem znużeniem. Czuł nieodzowną potrzebę wypoczynku. Nawet niewyczerpana w rozmowie pani Ashton, przerażona bladością synowa, nalegała, aby się co prędzej położył, jakoż niezadługo Henryk spoczywał w skromnem lecz schludnem łóżku, które od dawnych lat zajmował w swojej izdebce, ręką poczciwej stryjenki starannie zawsze porządkowanej.

Stary pies pragnął koniecznie towarzyszyć swemu młodemu panu aż do drzwi pokoju, i położył się u progu, nie chcąc się już ztamtąd ruszyć, mimo wszelkich usiłowań Joego i gospodarza, którzy go chcieli wyprowadzić. Wierne zwierzę ogonem tylko machało, wydając niekiedy ciche jęki, i nie ustąpiło się z wybranego stanowiska.

Henryk Ashton dziwny sen miał tej nocy: wydało mu się, że siedział obok Elleny w bibliotece zamkowej; w tem zjawił się im sir William Mowbray, z obliczem radością rozpromienionem, takiem, jakie musiał mieć w swej młodości, nim jeszcze zmartwienie i tęsknota, oraz boleść z doznanej, a niezasłużonej hańby, złamały jego energię i cały żywot zatruło. Śniło

mu się, że ich błogosławił, a potem znikł z przed ich oczu. Wrażenie to tak głęboko utkwiło w jego umyśle, że ani utrudzenie, ani spanie dalsze nie mogło go zatrzeć; obudził się nareszcie, a to wspomnienie snu błogiego niezamącone zostało w jego pamięci.

Promienie jasnego słońca ozłociły wnętrze jego sypialni, gdy się zerwał z łóżka, zajęty myślą o różnych ważnych zamiarach, jakie miał uskutecznić, a osobliwie o wyleczeniu Marcina. Postanowił udać się na plebanię bez stracenia czasu, aby być obecnym przy operacyi. Kiedy się wybrał w drogę w towarzystwie swego stryja, stary zegar na folwarku bił właśnie ósmą godzinę.

XXV.

Zbliżając się do plebanii, Henryk i jego towarzysze spotkali zakrystyana Chettleborough i biednego Marcina. Oblicze obłąkanego starca rozjaśniło się, kiedy nasz bohater wziął go za rękę i uprzejmie wypytywał o zdrowie. Joe dostrzegł powrót do zmysłów w tej widocznej radości biedaka.

— Powrócił, powrócił! — przemówił chory. — Jeden! dwa! wszyscy powrócą, razem z ptakami, kwiatkami wiośnianemi!...

— Kto powróci, Marcinie? — odezwał się Henryk.

Obłąkany nie odpowiedział na zapytanie, ale zaczął liczyć na palcach i powtarzał: Jeden, dwa! powrócił, powrócił, powrócił!

— Co on mówi? — zapytał Henryk niespokojony.

Chettleborough chciał odpowiedzieć, ale Maciej Ashton wstrzymał go wzrokiem. Zacny dzierżawca wiedział, ile siły i krwi zimnej potrzebował jego synowiec na taką wiadomość, nie chciał więc zakłócać jego spokojności uwiadomieniem, że prawdopodobnie Ellena znajduje się w Opactwie. Ułożył sobie, że dopiero po ukończonej operacyi opowie mu wszystko.

— Jakże się zachował mój biedny przyjaciel przez czas mej niebytności? — zapytał Henryk grabarza.

— Tak samo, jak przed odjazdem pańskim, — odrzekł zakrystyan, — spokojny i cichy jak dziecko. Główną jego rozrywką jest zbieranie stokrotek na cmentarzu, bo zwykle ze mną wychodził i przy mnie zostawał, póki miałem co do czynienia między grobami. Wieczorami przysłuchiwał się, jak dzwoniłem w małe dzwonki i to nieraz po całych godzinach... Ale od jakiegoś czasu postrzegam w nim zmianę. Jest bardziej niespokojny niż zazwyczaj, i parę razy wydalał się z mego domku. Ostatnim razem przyszedł dopiero nad rankiem. Domyślam się, że był w zamku, bo nieustannie mówi o swoim zmarłym panu i o miss Ellenie.

Tymczasem przybyli na probostwo: doktor Orine, Khan, pułkownik Butler, sir Jasper, Pepper, jenerał Bouchier i dwaj chirurdzy zgromadzili się w bibliotece.

Na widok tylu obcych, Marcin cofnął się z wyrazem dziecinnego przerażenia. Henryk i zakrystyan musieli użyć wszelkiego wpływu, aby go od ucieczki powstrzymać.

Henryk zadrżał, ujrzawszy krzesło poręczowe z przyrządem mechanicznym, którego Khan miał użyć do odbycia operacyi na obłąkanym.

— Kto to jest? — zapytał dzierżawca, ujrzawszy Khana, a gdy ten parę słów wymówił, stary Ashton drgnął i zbladł okropnie.

— Co ci jest, stryju? czyś słaby? — zapytał go Henryk.

— Nie to, nie... Harry! — odpowiedział stary, — przynamniej nic takiego, cobym ci teraz mógł powiedzieć. Nie uważaj na mnie.

Bratanek odszedł od niego zdumiony, bo doktor Orine zażądał, aby się oddalili z pokoju wszyscy prócz chirurgów, Henryka, Joego i zakrystyana. Skoro sami pozostali, zakrystyan posadził obłąkanego w krześle dlań przygotowanem.

Staruszek bez najmniejszego oporu dał sobą powodować, jak niemowle w ręku piastunki.

— A teraz, Joe! — przemówił Henryk widząc, że uwaga Marcina zupełnie była zajętą, — jakiekolwiek będziesz mieć współczucie dla tego nieboraka, należy być wytrwałym; weźmiesz go za lewą rękę i silnie trzymać będziesz, a ja go będę trzymał za prawą.

— Oh, master Harry! dałbym połowę życia mego, żeby już było po wszystkiem!

Nie będziemy opisować operacyi trepanowania; Khan nauczył się był w Indyach i wydoskonalił później troskliwemi badaniami nieomylną metodę prawie. Chory drgnął jakby pod wpływem elektrycznego uderzenia, trząsł

się na całym ciele, wydawał jęki żałosne, i usiłował podnieść ręce. Biedny Joe tak był zmięszany, że omało nie puścił jego dłoni.

Khan zatrzymał się, ale tylko krótką chwilę, dla odgarnięcia kilku włosów, które przeszkadzały działaniu narzędzia chirurgicznego.

— W imię sprawiedliwego Boga i ludzkości, — odparł uroczystym tonem renegat, — będę dalej działał, póki mi iskra nadziei przyświeca!

— I wziął się znowu do operacyi.

Krzyki i jęki pacyenta były rozdzierające, ale Henryk i Joe głośniej jeszcze słyszeli zgrzytanie straszliwej piłki. Ten chrzęst dreszczem przejmował ich aż do kości, a trwoga mało co mniejszą była od tej, jakiej biedny stary Marcin doznawał. W daremnem usiłowaniu wyrwania rąk swoich silnie wstrzymywanych, konwulsyjnie zanurzał paznogcie w ciało Henryka, który byłby dał połowę życia, aby ta operacya raz się skończyła. Joe stał blady jak chusta; zimny pot występował mu na czoło.

Khan zdawał się nieporuszony. Spokojny i zimny jak posąg przeznaczenia, nieprzerwanie władał swem narzędziem, a ostre zęby piłki powoli przenikały do strzaskanej czaszki.

Po długo trwających jękach żałosnych, nastąpiło głębokie westchnienie, a potem cisza zupełna.

Urzędnicy wrócili do biblioteki.

— Ja to przewidywałem, — odezwał się Dalxymple oglądając skutek operacyi, — udało się panu wybornie odjąć strzaskane części, ale pacyent umarł z wysilenia.

Khan potrząsł smutnie głową.

— Umarł? — powtórzył Henryk i westchnął boleśnie. — Biedny starowina! Taka wierność i przywiązanie zasługiwały na lepszy los!

Martineau pochwyciwszy rękę pacyenta, zażądał prędko amoniaku; przekonał się, że tętno słabo jeszcze uderzało.

— Tylko spiesznie! — zawołał, — on jeszcze nie umarł!

Użyto natychmiast tego środka trzeźwiącego.

Po upływie chwil kilku w oczekiwaniu i niewysłowionej trwodze, Marcin wydał lekkie westchnienie. Niezwłocznie oswobodzono mu głowę z mechanicznego przyrządu, a Joe pochwycił starca na ręce i zaniósł z troskliwością pieszczotliwą na łóżko do przyległego pokoju. Wtedy chirurgowie zajęli się trzeźwieniem go do reszty.

— Byleby tylko zapobiedz gorączce! — przemówił jeden z nich.

— Jeżeli się nam uda powstrzymać ją, to może będzie żył jakiś czas przynajmniej! — dodał drugi.

— Dzięki Bogu! — zawołał Henryk, — serce moje pozbyło się dotkliwego ciężaru!

— Ach i moje! — dodał z płaczem Joe. — O master Harry, kiedym się patrzał na bladą twarz starego i słyszał skrzypienie tej piłki piekielnej, zdawało mi się, żem pomagał do popełnienia zabójstwa!

W chwili, gdy Khan pozostawszy w bibliotece dla pozbierania swych narzędzi chirurgicznych, chciał iść za dwoma lekarzami, ktoś mu rękę na ramieniu położył Odwrócił głowę i ujrzał Macieja Ashton.

— Nie teraz, Macieju! — szepnął do niego, — tylko nie teraz! Przyjdę dziś wieczór na folwark... to jest, jeżeli mi przyrzekniesz, że cię samego zastanę.

— Dobrze, przyobiecuję ci! — odparł stryj naszego bohatera z głębokiem wzruszeniem. — Ale nie omieszkaj przyjść! Pragnę się dowiedzieć...

— Dowiesz się o wszystkiem co mogę, i co mi wolno powiedzieć; pomnij, że tu nie jest bynajmniej miejsce do rozmowy.

Po tych słowach wyszedł z pokoju.

— Więc się nie omyliłem, — mruczał dzierżawca, idąc za nim. — Wiedziałem, że się nie zwodzę; zresztą, nazwał mnie po imieniu. Jakżeby cudzoziemiec mógł wiedzieć moje chrzestne imię?

Chociaż się powiodła operacya, jednak na włosku tylko wisiało życie starego masztalerza. Lekarze wątpili czy przyjdzie do zdrowia o tyle, aby był w stanie uczynić jakie zeznanie, i dać świadectwo tyczące się sprawy skrytobójstwa dokonanego na sir Williamie.

Doktor Orine zauważył, że wydawał się bardzo sennym.

— Masz pan słuszność, — odezwał się Khan, nie tracąc nadziei co do wyzdrowienia chorego, — wkrótce uśnie.

Henryk zbliżył się do niego i z wdzięcznością dłoń jego uścisnął.

— Po tym śnie albo odzyska rozum i pamięć, — dodał Khan, — lub też obudzi się

w krainie gdzie już ani zbrodnie ani cierpienia nie istnieją!

— Będziesz pan czuwał przy nim?

— To na nicby się nie przydało, młodzieńcze, — rzekł renegat, kładąc dłoń na ramieniu Henryka. — Już mu więcej żadnej usługi wyświadczyć nie mogę, a święty obowiązek wzywa mnie gdzieindziej... Cokolwiek nastąpi bądź przekonany, że szczerze pragnę być ci użytecznym... Jeżeli mi Bóg pozwoli, jeszcze się zobaczymy!

— To rzekłszy, opuścił dom plebanii, ale nie był sam; Joe mu towarzyszył, niosąc klucze od dzwonicy w której zamknięto Sidelera w oczekiwaniu skutków operacyi, dokonanej na starym Marcinie.

XXVI.

Dzwonnica kościołka Carrowskiego była to wysoka czworoboczna wieża, cała z kamienia wybudowana w stylu gotyckim, i widocznie w czasach późniejszych jak reszta budynku, w którym znajdują się jeszcze ślady architektury normandzko-saksońskiej. Ta wieża była podzielona na pięć pięter czyli izb jedna nad drugą umieszczonych, do których wchodziło się wązkiemi wschodami w murze od północy wyrobionemi, ściana ta bowiem grubszą była od tamtych trzech.

Piąte piętro zawierało wewnątrz dzwony różnej wielkości, tworzące muzykę dosyć harmonijną; na czwartem umieszczony był zegar; trzecie obrano na tymczasowe więzienie dla królikarza nim go w ręce sądu oddać miano. Widocznie miejsce to służyło za kaźnię nie pierwszy raz; drzwi były grube, dębowe, gwoździami nabijane a ogromne rygle zewnątrz je zamykały szczelnie. Okno było zamurowane, tylko mały w niem u góry otwór zostawiono dla wpuszczenia światła dziennego; tym więc sposobem wszelka ucieczka i stosunki z dolnemi izbami stawały się niemożliwe.

Ulegając usilnym prośbom więźnia, który się lękał długich godzin ciemnej nocy, zakrystyan zaniósł tam z niższego piętra ogromny żelazny świecznik, rzucający czerwone i ponure światło w tym przybytku.

Will Sideler przepędził noc w niespokojności i trwodze. Sen przerywany, gorączkowy, przywodził mu przed oczy okropne marzenia, w których przeszłość i teraźniejszość mięszały się z sobą w najdziwaczniejszy sposób. Powrót dnia nie położył końca jego udręczeniom. Pierwszy płomień słoneczny przeciskając się wązkim otworem w oknie zostawionym, przywiódł mu zarazem to bolesne przekonanie, że znów o jedną dobę bliższym jest śmierci.

— Jeszcze nie zgnębiłoby mnie tak, — mruczał sam do siebie, — gdyby mnie gdzieindziej powieszono, a nie w Norwich! Dzieckiem będąc, igrałem na wzgórzu zamkowem, i dla tego strach mnie przejmuje na myśl, że mnie tam powieszą, a tysiące ludzi którzy mnie znali za młodu, przypatrywać mi się będą jak rarogowi!

Joe Beans wychodząc z plebanii, zabrał z sobą klucze od strażnicy w celu poniesienia jadła więźniowi. Przyjął tymczasem obowiązek dozorcy więziennego, gdyż zakrystyan był już za stary, by się tem mógł zajmować.

Otwierając drzwi od kaźni, zastał zbójcę w kącie skulonego. Jakkolwiek człowiek ten i jego zbrodnia grozą przejmowały młodego wieśniaka, nie mógł stłumić w sobie uczucia litości na widok tego nędzarza, którego oczy krwią pozachodziły. W ostatnich czasach zmienił się tak znacznie, jak gdyby o lat dziesięć postarzał; włos jego posiwiał całkiem, a ciało wynędzniało i schudło okropnie.

— Przynoszę ci jedzenie! — rzekł Joe stawiając przed nim koszyk.

— Mnie się jeść nie chce! — odmruknął więzień, — ja pić chcę!

Joe wskazał mu dzban z wodą.

— Co mi z wody, mnie potrzeba gorzałki. Ja wody nie cierpię, wstręt mam do niej!

— Wiesz co nowego, Will! — odezwał się Joe, — stary Marcin odzyskał rozum!

Ta wiadomość, niby grom elektryczny, wstrzęsła całem jestestwem skamieniałego zbrodniarza. Długo stał jak wryty, potem zaczął drzeć aż mu zęby dzwoniły, a muskuły twarzy jego konwulsyjnie się wykrzywiały.

— Mój sen! — rzekł przerażony, — powieszą mnie jak psa w tem mieście, kędy dzieckiem igrałem!

XXVII.

Przez ten czas, kiedy w domu rektora zamyślano odbyć operacyę, która miała na celu wyleczyć z obłąkania starego Marcina, pułkownik Mowbray z żoną swoją i Miran-Hafaz znajdowali się w Opactwie; nie wiedzieli nic ani o powrocie Henryka Ashton i Sidelera, ani o tem wszystkiem, co przeciw nim knowano w zamiarze wyjawienia ich zbrodniczych zamachów.

Indyanin i jego sprzymierzeniec siedzieli u stołu każdy we własnych dumaniach pogrążony.

— Miranie! — zawołał nagle pułkownik, — uczyniłem dla ciebie wszystko co żądałeś. Domagam się mojej nagrody.

— Oddam ci twoje zeznanie, — rzekł Indyanin z szyderczym uśmiechem, — ale dopiero w dzień ślubu z Elleną.

— Ja dziś potrzebuję tego pisma! — krzyknął Mowbray zrywając się z krzesła. — Ja tak dłużej żyć nie mogę! nie wytrzymam dłużej tego położenia!

— Pułkowniku, oddaję ci twoje pisemne oświadczenie! — rzekł Miran widząc wyraz ponurego zgnębienia na obliczu swego przyjaciela. — Już mi nie jesteś potrzebny do usunięcia mojego współzalotnika i jego przyjaciół. A co się zaś tyczy twojego zezwolenia na nasze małżeństwo, to chciwość twoja jest mi dostateczną rękojmią!

Zapukano do drzwi.

— Można wejść! — zawołał Miran rzucając się na sofę.

W tejże chwili weszła lady Mowbray.

— Tak wyglądasz przestraszona, moja kochana, co ci takiego? — zapytał pułkownik chowając do swego pulpitu wręczony mu papier przez Mirana, — czy się co złego stało?

— Wiktor powrócił! — rzekła pułkownikowa.

Słysząc imię służącego, który miał Sidelera odwieść do Marsylii, Miran zerwał się. Miał powód przerazić się, bo wiedział, że ten człowiek był mu wierny i niezbyt drażliwego sumienia, byleby mu dobrze zapłacono za jego hultajstwa. A wiemy, że Miran nie skąpił złota.

— Gdzie jest Wiktor? — zapytał.

— W sali jadalnej.

Nie mówiąc słowa, popędliwy młodzieniec wybiegł z komnaty, by się z nim widzieć.

— Prawdziwie, mój przyjacielu, ten Miran staje się coraz nieznośniejszym, — przemówiła lady Mowbray do męża. — Dzięki Bogu, że się już raz ożeni, to się go pozbędziemy!

Głośny hałas, krzyki i przekleństwa dały się słyszeć z sali jadalnej.

— Na miłość Boga! chodź tam ze mną! — zawołała pułkownikowa, — inaczej gotów popełnić zabójstwo!

Pułkownik przekonawszy się jeszcze raz, że pulpit dobrze zamknięty, wyszedł z żoną.

Zastali Mirana chodzącego wielkiemi krokami wzdłuż sali, jak tygrysa w klatce zamkniętego, a sługę przypartego do kąta, gdzie go Miran rzucił.

— Ja temu nie winien! — zawołał nędznik ujrzawszy wchodzących pułkownika i żonę, — doprawdy, że w tem wszystkiem nie ja zawiniłem. To pan Ashton narobił tego kłopotu!

— Cóż się więc stało?

— Mój rywal powrócił! — ryknął młody Indyanin. — A co gorsze spotkał w Calais Sidelera i tego durnia, w którym położyłem zaufanie, i powiodło mu się królikarza wpakować na statek i przywieść go z sobą. Otóż to, co się stało!

— Więc Sideler jest znowu w Anglii? — zapytał struchlały Mowbray.

— Tak jest!

— A cóż się stało z Henrykiem Ashton!

— Przyjechał z nim!... Z tem wszystkiem może to i lepiej. Nie chciałbym bez boju zdobyć sobie żonę! Skoro Ellena raz moją zostanie, mogę urągać losowi i jego dziwactwem. Potrzebowałem wzruszenia i oto mieć je będę. Wilgotne i mgliste powietrze Anglii krew mi zamroziło, która niby stojąca ścięła się w moich żyłach; teraz swobodniej płynąć będzie!

Sprzymierzeniec jego nie znajdował bynajmniej, aby z tem lepiej było. Powrót naszego bohatera nie małego go nabawił strachu, i winszował sobie w duchu, że wymógł fatalne pismo przed przybyciem posłańca z nieszczęsną wiadomością.

— Muszę się zobaczyć z Elleną, — rzekł Indyanin.

— Przecież nie teraz!

— Właśnie że natychmiast! — powtórzył stanowczo. — Widok jej uśmierzy wzburzenie

umysłu mego; od dzieciństwa głos jej miał władzę uspokojania mnie! Dziś wieczór ślub odbyć potrzeba, — dodał ściskając ramię pułkownika, — dzisiejszego wieczora moją być musi!

— Ależ to niepodobna! — odpowiedział pułkownik, — zapominasz, że choć mamy indult, to jednak doktor Tordletexte jutro dopiero przyjedzie!

— Jutro! — zawołał Miran, — do jutra nie zdołam wytrzymać tęsknoty gryzącej mi serce i tego niepokoju, co moim umysłem włada!

I nie czekając odpowiedzi, wyszedł ze swoim wspólnikiem, by się udać do pokoju Elleny.

XXVIII.

Ellena leżała na sofie, a u nóg jej siedziała mamka. Zupełna zmiana odbyła się w umyśle Zary, od tej chwili, jak widziała Ellenę blizką śmierci z przyczyny Mirana. Ellena przeniknęła tajemnicę tej niepokonanej istoty; przekonała się, że jej dawna prześladowczyni nie ma już nic więcej na względzie, jak ocalić swoją wychowankę.

— Potrzeba będzie użyć podejścia! — mówiła ayah.

— Jakto? — odezwała się sierota.

— Jutrzejszej nocy ma się odbyć wasz ślub; przekupili jednego ze swoich fałszywych kapłanów, aby odprawił obrzędy małżeństwa. Miran nie omieszka odwiedzić cię; za lada chwilę usłyszysz chód jego na schodach. Oszalał, Elleno, oszalał prawdziwie z zazdrości i rozpaczy, że mu wzajemną nie jesteś. Ty która znasz jego humor porywczy i namiętne usposobienie, podług tego, co już uczynił, możesz się domyśleć do czego jest zdolnym!

Wtem usłyszały z galeryi portretów głos Miran-Hafaza, który pytał pułkownika o klucz do pokoju. Na dźwięk tego strasznego dla niej głosu, Ellena przytuliła się drżąca do piastunki zaklinając by jej nie opuszczała.

— Posłuchaj mojej rady, — rzekła Zara, — a będziesz ocalona; cokolwiek by nastąpić mogło, jesteś uzbrojona, by się przed schańbieniem uchronić!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

DWIE MARYE.

POWIEŚĆ Z DAWNYCH CZASÓW POLSKICH

PRZEZ

FR. XAW. TUCZYŃSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Marya zadrżała gwałtownie, gdyż do jej uszu doszedł szmer i szelest z pierwszego pokoju. Serce jej mocno zabiło, przed oczyma ujrzała tysiące niebieskich, czerwonych i zielonych gwiazdek.

Michał ciągnął dalej:

— Skoro ty sama zezwalasz na nasze połączenie, nic mi więcej nie pozostaje, jak się oddać słodkim marzeniom. Będę szczęśliwym, będę zadowolnionym. A tobie przyrzekam, że ci życie

umilę, że ci przeszłość stokrotnie przyszłością wynagrodzę. Będziesz opływać w dostatki, na niczem zbywać ci nie będzie. Otoczę cię przepychem, na jaki tylko świat się zdobędzie, tak, że ci i królowa pozazdrości. Powiedz Maryo, nie cieszysz się z tego?

Marya milczała.

Zapomniałem, że mi nie chcesz odpowiadać. Jednakże, Maryo, na jedno pytanie odpowiedzieć mi musisz. Powiedz mi Maryo, czy ty mnie też kochasz?

Marya milczała.

— Milczysz! Zgaduję, że odbywasz walkę z twem sercem, że mi tego jeszcze powiedzieć nie chcesz. Badać więc cię też nie będę; dosyć mi na teraz, że wiem, iż jutro....

Nie domówił, gdyż w tej chwili rozległ się straszliwy okrzyk.

— Śmierć, śmierć Różewskim!!

* * *

Równocześnie rozwarły się drzwi i kilkunastu zbrojnych mężów wskoczyło do komnaty. Michał zerwał się, skoczył do szabli i w momencie był gotów do obrony. Czarny mąż był pierwszym co stanął między nim, a Maryą.

— Marya jutro będzie w objęciach jej prawego męża, — krzyknął czarny rycerz.

— Adam! — zakrzyknęła Marya i rzuciła się w objęcia czarnego rycerza.

— Maryo! — wyrzekł tenże, tuląc ją do siebie, — mam cię nareszcie po tylu latach!

Tymczasem Skirmunt, Jan i Paweł zajęli się Michałem, który postanowił bronić się do upadłego. Natarli na niego całą siłą — miecze szczękają, aż skry się sypią... lecz cóż to? czy Michała zwalczyć nie mogą? czyż go zabić nie chcą? Tak jest, nie chcą go zabić, tylko rozbroić.

— Łotrze! — krzyknął Paweł, — oto przyszliśmy ci na jutrzejsze wesele drużbować. Połóż miecz, niegodzien jesteś walczyć!

— Nim ja miecz porzucę, musi twój łeb zbójecki spaść z karku, — krzyknął Michał zapalczywie.

— Ho! ho! bratku, pomału, pomału, — dodał Jan, — któż jest pomiędzy nami zbójcą?

— Wy wszyscy, co nocą i podstępem włazicie do cudzego mieszkania.

— Ha! ha! ha! do żmii nikt otwarcie nie przystępuje; chcąc ją zgładzić, trzeba ją chytrością podejść.

Wtem Skirmunt dobył ostatniej siły, zwinął się, wyprężył i tak silnie ciął, że miecz Michała prysnął przy samej główni, a klinga z dźwiękiem do sufitu skoczyła. Jan doskoczył, pochwycił Michała w pas i po krótkim szamotaniu zwalił na ziemię. Związano go jak barana i położono u stóp Maryi.

— Michale, — zawołał Adam, — przypatrz mi się dobrze, poznaj, że jeszcze jestem ciepły, zdrów i żywy; poznaj że jeszcze żyję, aby ci dać moją zemstę uczuć.

— Ha! zbójco, — zakrzyknął Michał wściekle, i piana z ust mu się toczyła, — oto masz mnie w twej mocy, napój się krwią moją, weź noża i zarzezaj jak bydlę. Ty do otwartej walki nie jesteś stworzony, tylko podstępem umiesz wojować.

— Ho! ho! ptaszku, tak ty to umiesz śpiewać? — rzekł Paweł, — trzeba cię widzę lepiej ująć, byś nie był niebezpieczny.

Śmiech rozległ się echem po komnacie.

Na dziedzińcu tymczasem zgiełk i wrzawa coraz bardziej się wzmagała. Straż przerażona zerwała się do broni i stanęła gotowa do walki. W pierwszej chwili przerażenia, wśród ciemności nocy, nie mogła rozpoznać nieprzyjaciela. Różewscy więc rzucili się sami na siebie. Poznali się, zwrócili się na nieprzyjaciela i rozpoczęli walkę, lecz Kostrzewscy już byli górą.

Jerzy sam, przywdziawszy zbroję, dowodził hufcem. Łuna pożaru zaczerwieniła niebo i płomień przyświeca krwawemu widowisku. Rozpoczął się mord — krew leje się strumieniami, a jęk rannych i konających napełnia powietrze.

Najzaciętsza walka rozpoczęła się około drzwi wchodowych do zamku. Znaczna ilość łuczników schroniła się na pokoje Michała. Tam w oknach rozłożeni, celnie brali przeciwników na strzały i niemiłosiernie ich przerzedzali. Kostrzewscy nie mogąc im strzałami nic zrobić, postanowili ztamtąd wypędzić ich szturmem. Wywalano drzwi, a kilkudziesięciu wpadło na pokoje, gdzie się starli na miecze i topory. Starcie było bardzo krwawe, wielu z obu stron poległo. Kostrzewscy wreszcie przemogli i Różewskich na dziedziniec wyparli, gdzie ich reszta szablami i strzałami przywitała.

Po dwugodzinnej walce zwyciężyli Kostrzewscy a z Różewskich, co nie poległo, stało ze

związanemi rękoma. Spędzono wszystkich na jedną kupę dla pokazania im jeszcze jednego widowiska.

Tymczasem Jerzy poszedł spiesznie do burgrabiego. Zastał go jeszcze tak samo leżącego w komorze, jak go zostawił. Podniósł go, poprzecinał sznury i uwolnił biedaka.

— Młodzieńcze, — rzekł burgrabia przytłumionym głosem, — oby ci Bóg przebaczył to, coś mi uczynił.

— Starcze! — rzekł Jerzy wesoło, — jestem tego pewny, że mi Bóg przebaczy i karać mnie za to nie będzie. Patrz! jak On nam dopomógł (tu wskazał na dziedziniec). Starcze, ale ty nie winieneś tej krwi, która dziś popłynęła, przeto ofiaruję ci w imieniu mego pana schronienie i przytułek do śmierci na Kostrzewie.

Starzec spojrzał na Jerzego. Stał on przed nim zbrojny; w jednej ręce dzierzył miecz krwią zbroczony aż do samej rękojeści, a drugą ręką ocierał krople potu z czoła. Twarz jego, męztwem i walką zagrzana, płonęła żywym rumieńcem. Burgrabia z przyjemnością wpatrywał się w dorodnego młodziana.

— Czy twój pan chce mi tem za to zapłacić, że nie umiałem obowiązku mego wypełnić? — zapytał po chwili burgrabia z goryczą.

— Powiadam ci starcze, żeś ty bynajmniej temu nie winien i sumienie żadnych ci wyrzutów robić nie będzie. Pojedziesz więc z nami do Kostrzewa.

To mówiąc, wyszedł, a burgrabia przybliżył się do okna w komórce.

Zapalony zamek wystrzeliwał w górę kilkoma słupami płomieni, gdy dopiero rycerze, którzy po Maryą wbiegli, we drzwiach się ukazali. Maryą wsadzono do kolasy, a Michała położono na ziemi. Przyniesiono snop słomy i związanego Michała na niej położono. W koło niego uformowano wielkie koło tak z Kostrzewskich jak i z Różewskich.

Gdy się to stało, zawołał Adam, zwróciwszy się do Michała:

— Michale! nie wart jesteś, aby się czyjkolwiek miecz twą posoką splamił, nie wart jesteś poledz od uczczciwej ręki. Dla tego w obliczu tego anioła, w oczach tej niewiasty, którą ty zbezcześcić chciałeś, będziesz jak pies, jak wściekłe zwierzę, kijmi ubity!!

Jęknął Michał, chciał coś mówić, ale w tej chwili rozciągnięto go na słomie, i dwóch pachołków rozpoczęło smaganie giętkiemi prętami, umyślnie na ten cel przygotowanemi. Z początku Michał postanowił ze zaciętemi zębami skonać, nie wydawszy głosu. Lecz wnet zapomniał o swem postanowieniu. Z wielkich boleści wydał przeraźliwy okrzyk — a na to cały dziedziniec odpowiedział mu szyderczym śmiechem. Po małej chwili wydał Michał drugi krzyk, lecz o wiele przeraźliwszy i potem umilkł omdlały.

Marya zdrętwiała na tak straszne widowisko; nie mogąc tego znieść, zakrzykła:

— Adamie, na miłość Boga, puść tego człowieka — dość już jesteś pomszczony.

— Puścić go! — zawołał Kostrzewski.

Pachołcy odstąpili, lecz Michał omdlały nie mógł powstać, tylko pozostał na słomie, zlany krwią i poraniony do kości.

— A teraz zniszczyć całkiem to gniazdo jaszczurcze, niech i znaku po niem nie zostanie, krzyknął Kostrzewski.

Rozkaz jego tak ściśle wykonano, że wkrótce tylko kupa gruzów i dymiące się zgliszcza pozostały z pięknego zamku Różewa. Dokonawszy zemsty ruszyli Kostrzewscy napowrót, prowadząc ze sobą kolasę ze zdrętwiałą Maryą, Starego burgrabiego zabrał Jerzy ze sobą.

Wschodzące słońce oświeciło zgliszcza i gruzy Różewa przyświecając wracającym zwycięzcom.

ROZDZIAŁ III.

Bolesław Śmiały w skutek rzuconej nań klątwy za zabicie św. Stanisława Szczepanowskiego, Biskupa krakowskiego, uszedł cichaczem z Polski, a na jego miejsce wyniesiono na tron jego brata Władysława Hermana.

Że Władysław Herman miał dobre serce i chciałby rad się był zająć czem dobrem, o tem nas przekonywają niektóre pomniki istniejące do dnia dzisiejszego. Mianowicie zasługuje na uwagę katedra w Krakowie, którą Władysław Herman własnym kosztem wybudował.

Nieszczęściem dla niego i dla kraju było to, że za nadto spuszczał się na drugich. Z jednej strony powodowała nim żona jego niemkini Ryksa, z drugiej strony ster rządu owładnął całkiem przyjaciel jego, którego Władysław

Herman wyniósł na najwyższe natenczas w Polsce dostojeństwo, na wojewodę.

Tym wojewodą był Sieciech.

Nie można było wtenczas odgadnąć, kto był właściwym królem, a raczej książęciem polskim (bo Władysław Herman niebył koronowanym) czy Sieciech, czy Władysław. Sieciech bowiem rządził samowładnie. Wynosił na urzędy, kogo chciał, karał, kogo chciał — na wszystko Władysław zezwalał. Aby sobie zapewnić przewagę, zabronił Sieciech panom stawiać warownych zamków, sam zaś miał ich pod dostatkiem. Niechętnem nawet okiem spoglądał na zamki już dawniej wybudowane, jednakże nie mógł ich kazać obalić, aby nie wywoływać zaburzenia w kraju. Panowie sarkali na to, niejedno ostre słowo doszło nawet do uszu samego Władysława Hermana, ale Sieciech nie troszczył się bynajmniej o ich sarkania, tylko robił swoje po staremu.

Dodać jeszcze tyle należy, że powrót Adama Kostrzewskiego przypadł niedługo po śmierci św. Stanisława.

A teraz wracajmy do powieści.

* * *

Minęło już przeszło rok po opisanem zdarzeniu na zamku Różewskim.

Michał zemdlony, przyszedłszy do siebie, zawlókł się do mieszkania jednego z poddanych, a ten odwiózł go do stryja, Błażeja Różewskiego, mieszkającego około dwadzieścia mil od Różewa.

Co za uczucia Michałem miotały, opisać niepodobna. Ze szczytu wymarzonego szczęścia ujrzał się nagle w najgłębszej przepaści hańby i nędzy. On... rycerz, obatożony na słomie... w obec sług własnych!.. To było za wiele. Nie dziw, że natychmiast z ludźmi Błażeja chciał napaść na Kostrzew, zamek ze ziemią zrównać, a Kostrzewskiego... ha! na wolnym ogniu go usmażyć, to byłoby za mało!.. Stryj jednak, człowiek spokojny, obawiający się Sieciecha, nie pozwalał mu tego, chcąc na innej drodze zemsty dokonać. Był on jednym z osobistych przyjaciół Sieciecha... spodziewał się więc za pomocą jego Kostrzewskiego ukarać. Wiedział dobrze, że Sieciech każdą sposobność chciwie chwytał, aby się pozbyć warownych zamków z kraju. Nie wątpił też bynajmniej uzyskać od niego bezkarnego pozwolenia do zburzenia Kostrzewa.

W tym celu pojechał wraz z Michałem do Krakowa i udał się do mieszkania Sieciecha. Wprowadzony do wojewody, przedstawił mu swego synowca.

— Witam, witam, kochany Błażeju, — zawołał wojewoda. — Dawno was nie widziałem. Ale cóż Michał tak ponury? — dodał zwracając się do Michała.

— Wojewodo! on bardzo skrzywdzony, — wtrącił szybko Błażej, gdy Michał z odpowiedzią się ociągał.

— Skrzywdzony? Jakto? opowiedzcie mi, co się stało.

— Opowiadać trzebaby długo — rzekł na to Błażej. — W krótkości wam tylko, wojewodo, najgłówniejsze wypadki opowiem. Oto sąsiad synowca mego napadł, zamek mu spalił, sługi pozabijał, a jego samego... ale to okropnie, wojewodo, to zgroza...

— Ja chcę to wiedzieć, — krzyknął wojewoda, — choćby to było coś najgorszego.

— O! tak, wojewodo, było to coś najgorszego, co tylko człowieka spotkać kiedy mogło. Oto mego synowca, pana Michała Różewskiego, szlachcica, rycerza polskiego, śmiano... plagami ukarać!

Zerwał się wojewoda.

— Ha! — wykrzyknął — tego za wiele! To wybryk i kara nastąpić musi.

Michał poskoczył, by wojewodzie rękę ucałować.

— Dzięki ci wojewodo, — krzyknął, a oczy jaśniały mu radością, dzięki! zemsta za mą krzywdę.

Wojewoda zaczął niecierpliwie chodzić po komnacie. Wzburzona krew jego zaczęła coraz więcej stygnąć, aż nareszcie całkiem z gniewu ochłonął.

— Ale powiedzże mi Michale — spytał nareszcie wojewoda i przystanął na środku komnaty — co dało powód do tego najazdu. Nie podobna przecież, aby sąsiad bez przyczyny mógł najechać i karać?

Michał się zmięszał, a Błażej za niego odpowiedział.

— Jestto stara nienawiść, istniejąca między dwiema rodzinami, a teraz do tej starej nienawiści przyczyniła się nowa.

— Z jakiej przyczyny? — zapytał niecierpliwie wojewoda, którego wstęp Błażeja zaczął nudzić.

— Otóż Michał, rzekł dalej niezmięszany Błażej, — i sąsiad jego rozkochali się w jednej dziewce. Obaj ją pragnęli posiadać. Michał był szczęśliwy... i oto przyczyna najazdu.

— Zemsta będzie sprawiedliwa, — rzekł wojewoda, i znów rozpoczął przechadzkę.

— Powiedzcież mi Błażeju jego nazwisko.

— Adam Kostrzewski.

— Adam Kostrzewski? — krzyknął Sieciech i zbladł. — To niepodobna, Błażeju, bo wszakżeż Kostrzewski ma prawą, ślubną żonę.

— To prawda, — rzekł Michał — ale wojewodo, i to jest prawdą, co mój stryj powiedział.

— Nie zadaję ja bynajmniej kłamstwa mowie twego stryja, — rzekł wojewoda widocznie z niechęcią. — Ale was ostrzegam, że z Kostrzewskim nie tak łatwa sprawa bo on ma wielkie znaczenie u Jego Mości Króla miłościwego nam Władysława Hermana, a i nie mało u całego narodu. Jakże go tedy ukarać, aby nie ściągnąć szemrania u całego narodu?

Sieciech był w przykrym położeniu: słowa cofać nie śmiał, a Kostrzewskiego ukarać było mu za trudno. Byli oni przyjaciele młodości, razem na dworze króla polskiego ćwiczyli się w sztuce wojennej, odbyli razem kilka wypraw na nieprzyjaciela. Pchnięci rozmaitemi drogami w życie obywatelskie dochowali sobie wzajem przyjaźni, która ich do młodocianego łączyła wieku. Podejście Różewskich było tak dobrze obmyślone że się Sieciech ani nie dorozumiał podstępu, będąc tego mniemania, że Kostrzewski istotnie dopuścił się występku.

Jednak postanowił przyjaciela uratować. Podumał chwilę, potem myśl jakaś zbawienna zajaśniała mu w głowie. Rzekł więc:

— Idę do króla. Zostańcie tu tymczasem, aż nadejdę z odpowiedzią.

To mówiąc spiesznie udał się do Władysława Hermana, do którego miał w każdym czasie wolny przystęp; co tam z królem mówił, tego historya nie wspomina.

Wróciwszy do Różewskich, niecierpliwie powrotu jego wyglądających, rzekł:

— Kostrzewski będzie wyjęty z pod prawa. Atoli nie wolno przed ogłoszeniem wyroku żadnych nieprzyjacielskich rozpoczynać kroków. Król sam wyrok ogłosi; zakazał surowo przed tygodniem popełnić jakikolwiek czyn krwawy.

— A więc po tygodniu wolno mi się zemścić? — spytał Michał, którego oczy krwią zaszły, a pięści zacięły się konwulsyjnie.

— Tak jest. Od dzisiaj za tydzień, skoro ostatnie promienie słońca znikną, wolno wam z Kostrzewskim czynić, co wam się podoba. Do tego jednak czasu żądam spokojnego zachowania się, bo na Boga żywego przysięgam, że z pod ziemi tego wydobędę, kto mój rozkaz przestąpić się odważy!

Błażej i Michał milczeli.

— Jedźcie teraz z Bogiem, — rzekł wojewoda, skłoniwszy lekko głowę na pożegnania, — a nie zapomnijcie mi w swoim czasie donieść o skutku waszych usiłowań.

Różewscy odjechali.

Sieciech siadł przy stoliku i zaczął pisać. Przeczytawszy raz jeszcze swoje pisanie, wezwał pachołka, dał mu je i zarazem rozkazał przygotować się do podróży. Małą chwilę później rozległ się tętent kopyt końskich i pachołek z pismem Sieciecha zniknął.

Różewscy zadowolnieni z pomyślnego obrotu, jaki ich sprawa u Sieciecha wzięła, wracali spiesznie do domu, aby się do dzieła należycie przygotować. Czwartego dnia po rozmowie z Sieciechem stanęli w majętności pana Błażeja Różewskiego. Mały, dziesięcioletni chłopczyk, syn Błażeja, wybiegł im naprzeciw.

— Jak się miewasz, Stasiu, — wołał Błażej zdaleka. — Trzymaj się mocno abyś nie spadł.

A potem zwracając się do Michała, dodał:

— Walny chłopczyk, nieprawdaż? Jeszcze to dziecko, a jak się krzepko trzyma, że się aż serce raduje.

— Tak, tak, — mruknął Michał, — może on się najlepiej z nas na Kostrzewskim pomści, gdy dorośnie.

— Ho! ho! — rzekł Błażej, śmiejąc się, — ty, jak widzę, już zwątpiłeś, kiedy dopiero za siebie komuś mścić się każesz. Ha! ha! ha! ostygłeś wnet w twoim zapale!

— O! nie to miałem na myśli, stryju. Czyż myślisz, że krew tego zbójcy mnie zaspokoi? O nie! Nietylko on, ale wszyscy, wszyscy co do jednego, aż w czwarte pokolenie nie mają być wolni od zemsty, od miecza i ognia — krzyknął

Michał, z obliczem tak złowieszczem i okrutnem, że Błażej się wzdrygnął.

— Okrutny z ciebie człowiek, Michale; zdaje się, że sam lucyper przedzierzgnął się w ciebie.

— A ten zbójca, czyż on też nie był okrutnym? Czyż to nie było po djabelsku? O stryju! gdybyś go był widział, jak z obliczem wściekłem w obec całej swej zgrai i moich powiązanych ludzi wrzeszczał: ubiję cię kijami jak psa wściekłego! Że się wtedy zaraz nie wściekłem, nie wiem dla czego. Ha! czekaj zbójco! Zobaczysz, jak pies wściekły kąsać potrafi. Zobaczysz, jak rana od wściekłego psa dotkliwą. Mścić się będę do ostatniej kropli krwi, żywcem wnętrzności mu wydobędę, ozór wyrwę, a cielsko sznurem piłować każę... nie!.. własną ręką to zrobię! A ją, tego aniołka... ha! ją nie podobna bić kijami, ale... ale... Obłudna! Otoczyła mnie zdrajcami i sama zdrajczyni udawała, że się chce ze mną połączyć. Czyniła to zaś tylko dla tego, abym uwagi na zewnątrz nie zwracał. Ha! nadchodzi chwila pomsty.

— Hańba, którą on nietylko tobie, ale i całej naszej rodzinie wyrządził, jest wprawdzie wielka, — rzekł Błażej, — ale zemsta twoja, Michale, jest stokroć gorszą. Wspomnij przecież, żeś ty mu dał powód do najazdu, a potem, Michale, jesteś chrześcianinem, jako i twój ojciec Jarosław, a i mój świętej pamięci nieboszczyk brat był takim. Więc dość by było na tem, aby Kostrzewskiemu dać taką samą ilość batogów, zamek z ziemią zrównać, ją rózgami osmagać... ale nie, jej nie można krzywdzić, nie zgadza się to bowiem z chwałą rycerską, pastwić się nad bezbronną, słabą kobietą.

Tymczasem zajechali do samej posiadłości, którą sam Błażej Trzciniakiem nazwał. Był to piękny drewniany dworek, opuszczony głębokim rowem na około, więcej dla zwyczaju, aniżeli do obrony. Rozłożyste lipy zakrywały go prawie przed okiem ciekawego. Okolica była cudna. Z jednej strony poważny Dniestr wił się srebrzystą wstęgą pomiędzy bujnemi łąkami, z drugiej zaś strony niebotyczne Karpaty z ośroniałemi głowami przepyszny tworzyły widok. Wreszcie las zamykał, niby ramy, cały ten widnokrąg.

Pan Błażej Różewski był rodzonym bratem Jarosława, ojca Michała Różewskiego. Po dojściu do pełnoletności rozdzielili się bracia, tak, że Jarosław pozostał na Różewie, Błażej zaś zamieszkał na Trzciniaku, który wtedy jednak inne nosił nazwisko. Że Jarosława posiadłość od nazwiska właściciela zwała się: Różewo, więc pan Błażej swą majętność nazwał pokornie: Trzciniakiem.

Zrujnowany Kostrzew wzniósł się znowu pod okiem pana swego Adama Kostrzewskiego do dawnej wspaniałości i obrony. Mury wyporządzono, fosę wyczyszczono: Zamek był znów obronnym, zdolnym oblężenie czas niejaki wytrzymać. Adam spieszył się z odnowieniem zamku gorączkowo. Spodziewał się, że Michał doznanych plag i zburzenia Różewa nie zapomni, tylko mścić się będzie do ostatniego.

Wrażenia jakie w życiu doznajemy, zawsze czas pomału zaciera. Są chwile, których nigdy zapomnieć nie można, ale czas osnuwa je niejako siatką, przez którą je tylko, jak przez mgłę, w pamięci naszej widzimy. Zawsze jednak nie miłe pozostaje wspomnienie.

Adam przywykły do rozlewania krwi, do bojów, wspominał o zburzeniu Różewa, jako o wymierzonej sprawiedliwości za uwięzienie żony. Ale jak inne uczucia miotały Maryą! Tyle krwi rozlanej... dla niej... ona sama powodem tej rzezi i pożogi! Biedna Marya srogo cierpiała z początku pod wrażeniem, jakie owa scena na jej umyśle wywarła.

Wreszcie czas zatarł wrażenie, a pozostało tylko wspomnienie przykre.

Marya znowu na nowo odżyła: lica pokraśniały, dawna świeżość i wesołość ze zdrowiem wróciła. Adam po odbiciu swej żony, oddał się całkiem szczęściu domowemu, a jak był mężnym i srogim w boju, tak był czułym i kochającym w domowem pożyciu.

Niedobitkom Różewskim ofiarował na swych dobrach schronienie; wielu je przyjęło, a wielu pociągnęło za Michałem na Trzciniak. Burgrabła zburzonego Różewa przeniósł się stale na Kostrzew i tam ciche, spokojne pędził życie. Zapadł zaraz po przybyciu ciężko na zdrowiu, zapewne wskutek doznanych wrażeń w owym dniu pamiętnym, ale przyszedł wreszcie do zdrowia, jak na wiek jego podeszły, czerstwego. Imię mu było Zdzisław, nazwiska nikomu nie powiadał. Cały zamek zwał go starym Zdzisławem.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

GAWĘDZIARZ.

ZBAWICIEL W DRODZE.

I.

Za owych czasów, kiedy Zbawiciel z Piotrem św. przebywali na ziemi, spotkały ich rozmaite przygody. Razu jednego o późnej godzinie przybyli do wsi, w której ich nigdzie przenocować nie chciano, aż nareszcie natrafili na chłopa, który ich przyjął na nocleg. Kazał on dla nich nasłać słomy na bojowisku, a nim się udali na spoczynek, wystawił im dobrą wieczerzę. Podobało się to Piotrowi, który się gniewał, że ich nikt nie chciał przenocować; chwalił więc bezustannie owego chłopa.

— Gdy chwalisz, nie chwal za nadto! — rzekł Zbawiciel.

Zaledwo dnieć zaczęło, przyszli młockarze do stodoły. Św. Piotr, przebudzony ze snu słodkiego, był markotny, że im chłop tak rychło przeszkadza.

— A nuże, wy dwaj! — zawołał chłop — pójdźcie nam pomódz! Kto chce jeść, musi też i robić.

Piotr św. się nie ruszył, zwłaszcza że mu się zdawało, iż Chrystus Pan spał jeszcze mocno. Młockarze wzięli się do roboty, a gdy już trzy razy do koła przemłócili, rzekł chłop:

— Tych podróżnych należałoby obudzić. Skoro się najedli do syta, powinni nam też w robocie pomagać.

— Niechże jeden pogłaska tego z brzega cepami! — Piotr św. leżał z brzega, odebrał więc cios w plecy, lecz ani mruknął, zwłaszcza że mu się zdawało, że Chrystus Pan jeszcze mocnym snem ujęty.

— Mocno śpią! — rzekł chłop, i młócił dalej.

Zbawiciel szepnął Piotrowi:

— Piotrze, przemknij się cichaczem na moje miejsce, inaczej mógłbyś raz jeszcze dostać w plecy. Piotr św. uczynił to bardzo chętnie, bo go jeszcze plecy od otrzymanego uderzenia bolały.

— Ej, oni są jak z drewna! — zawołał chłop. Czekajcie, ja tego od ściany cepami pogłaskam!

Co wyrzekł, to uczynił. A że Piotr na Zbawiciela miejscu leżał, dostał więc znowu w plecy, lecz tą razą mocniej. Nie mówił on nic, lecz pomyślał: Byłoby dobrze, gdyby człowiek wszystko naprzód wiedział; mógłby niejednego złego uniknąć.

Wtem podniósł się Zbawiciel z posłania i Piotr z nim. Chrystus Pan pobłogosławił chłopu, że dwa razy tyle ziarna wymłócił.

W drodze ganił to Piotr Zbawicielowi, że chłopu pobłogosławił i wyrzekał na chłopa, który go dwa razy uderzył. Lecz Zbawiciel rzekł:

— Piotrze, ty na te uderzenia zasłużyłeś: po pierwsze, że gospodarzowi nie byłeś posłuszny; po drugie, że względem mnie byłeś samolubny. Gdy wyrzekasz, nie wyrzekaj za nadto!

II.

Gdy przyszli do innej wsi, jeść im się chciało. Zbawiciel rzekł:

— Piotrze, idź kupić mleka!

— Nie mleka, Panie, lepiej sera — prosił Piotr, gdyż ser lubił.

— Uczyń według twej woli. Tu masz pieniądze, kup trzy sery:

Piotr kupił trzy sery: jeden dał Zbawicielowi, jeden zjadł sam a trzeci miał zachować później.

I przyszli do boru, gdzie odpoczywali. Zbawiciel usnął; podczas snu jego zjadł Piotr trzeci ser. Gdy Zbawiciel, obudziwszy się, pytał się o ser, rzekł Piotr, iż go położył obok siebie i usnął. A że w tym czazie niezawodnie ktoś nadszedł i ser zjadł. Tu Zbawiciel rzekł:

— Piotrze, ja już nie mam pieniędzy, a będą nam potrzebne. Tu pod tym pniem, na

którym siedzimy, leży skarb. Weź drąga, wyważ i skarb wydobądź.

Piotr wziął się zaraz do pracy, a gdy pień wyważył znalazł rzeczywiście skarb, składający się z samych dukatów. Cały ten skarb złożył Piotr św. na kupę przed Panem. Zbawiciel zliczywszy złoto, zrobił z niego trzy równe kupki: jednę dał Piotrowi, jednę dla siebie zatrzymał, a jednę zostawił leżącą.

— Do kogoż należy ta trzecia kupka, Panie? — zawołał Piotr.

— Ta należy do tego co zjadł trzeci ser.

Piotr wyrwał się czemprędzej z wyznaniem:

— To ja zjadłem ten ser.

Lecz Pan spojrzał na niego surowo, i rzekł:

— Piotrze, ty się nie przyznajesz do sera, lecz do pieniędzy. W pieniędzach tkwi szatan. Weź te wszystkie pieniądze i rozdziel między ubogich!

Piotr zarumienił się cały, wziął pieniądze i uczynił tak jak mu Pan rozkazał.

III.

Pewnego razu Piotr szedł całkiem w myślach zatopiony obok Pana. W tem rzekł nagle:

— Musi to być rzeczą bardzo przyjemną być Panem Bogiem! Gdybym choć pół dnia mógł być Panem Bogiem, chętniebym znowu potem chciał być Piotrem.

Pan się uśmiechnął i rzekł:

— Niech się stanie według Twego życzenia. Bądź Panem Bogiem odtąd aż do wieczora!

Zbliżali się właśnie do wsi, z której gnała stado gęsi wiejska dziewczynka. Gdy je zegnała na łąkę zostawiła je, i spieszyła napowrót do wsi.

— Hej! czy ty te gęsi chcesz same zostawić? — zapytał Piotr dziewczęcia.

— Jakto? Czyżbym dzisiaj miała gęsi paść? Wszakże dziś mamy święto poświęcenia kościoła! odpowiedziało dziewczę.

— A któż ma paść te gęsi? -— zapytał Piotr.

— Dzisiaj niech ich Pan Bóg strzeże! — odpowiedziało dziewczę i poszło sobie.

— Piotrze! — rzekł Pan, wszakżeś słyszał! Chętniebym z tobą był poszedł do wsi na nabożeństwo, lecz gęsi mogłyby uledz jakiemu przypadkowi, a ty jesteś Panem Bogiem do wieczora, musisz ich więc pilnować.

— Cóż pozostało Piotrowi? Rad nierad musiał paść gęsi; lecz się zaprzysiągł, że już nigdy nie będzie chciał być Panem Bogiem.

(Dokończenie nastąpi.)

KLARA

CZYLI

ZWYCIĘZTWO CNOTY.

POWIEŚĆ.

NAPISAŁ

X. KANONIK SZMID.

(Ciąg dalszy.)

Po tej rozmowie udała się Klara na dolinę, gdzie bieliła sztuczkę płótna, którą uprzędła była przeszłej zimy. Gdy powracała z płótnem wązką ścieżką, krążącą pomiędzy zaroślem do domu, wypadło z lasu dwóch mężczyzn w zbrojach i z gołemi mieczami, schwycili ją grożąc, iż ją zabiją, jeżeli będzie wołała o pomoc; zawiązali jej usta i zawlokli w głąb lasu. Tam czekało na nich dwóch także całkiem

uzbrojonych jeźdźców, którzy mieli w pogotowiu dwa osiodłane wierzchowce. Dwaj rabusie dosiedli ich natychmiast, jeden z nich wziął drzącą dziewicę przed siebie na konia i pędzili dalej czwałem, tak szybko, iż biednej Klarze ćmiło się przed oczyma.

Po dwugodzinnej podróży przez pagórki, lasy i parowy, jeźdźce dali nieco wytchnąć zmęczonym koniom. Las stawał się coraz gęstszym, tak iż trudno się było przedzierać z końmi pomiędzy drzewami. Noc zapadła wkrótce, tak ciemna, iż nic rozróżnić nie było można. Nakoniec zawołał człowiek, który trzymał Klarę na swym koniu: „Stójcie, oto jest naznaczone miejsce". Jeźdźcy zatrzymali się, zsiedli z koni i pomogli Klarze znijść na ziemię. Rozniecili ogień, a jaskrawe jego płomienia oświetliły straszliwą, dziką okolicę. Znajdowano się na obszernem trawą porosłem miejscu, otoczonem dokoła ponuremi skałami i wiekuistemi dębami. Opodal wznosiły się omeszałe zwaliska starożytnej kaplicy. Giermkowie przynieśli z tych zwalisk chleb, wino i inne zimne potrawy, położyli się przy ogniu i jedli. Częstowali także Klarę, namawiając ją, by się pokrzepiła po tej trudzącej podróży. Lecz ich brzydkie twarze, długie brody i pordzewiałe zbroje, napełniały Klarę przestrachem. Usiadła na boku, na odłamku skały, i zakryła twarz chustką, by nie widzieć co się około niej działo. Byłaby wolała niesłyszeć także co mówili, bo słowa, które w tajemniczym sposobie, jednakże dość głośno wymawiali, o tem, gdzie zawieźć ją mają, napełniały duszę jej tem większą zgrozą i niepokojem. Modliła się gorąco do Boga, a myśl o boleści jej matki i wspomnienie o Rudolfie, wyciskały jej łzy rzewne.

— Ach! pomyślała, Rudolf ocalił mnie z paszczy wilka, któż ocali mnie z rąk tych rabusiów? Gdzież oni mnie zaprowadzą? Drzała cała na wspomnienie przyszłości. O Boże, zachowaj niewinność moją. Jeżeli to zgadza się z świętą wolą Twoją, wolę raczej poświęcić me życie.

Wśród takich myśli, oparta o skałę, znużona i przestraszona, zapadła w stan podobny do omdlenia, gdy znagła głos piorunujący, który echo stokroć powtórzyło, zbudził ją. Ziemia zadrzała pod kopytami przybiegających w czwale koni. Strzała świsnęła koło jej ucha i utkwiła tuż w ziemi, a wkrótce ujrzała postać szlachetną rycerza, którego świetna zbroja błyszczała jasno przy jaskrawych płomieniach palącego się ognia. Czterech rabusiów porwali za broń, lecz kilku pieszych żołnierzy uderzyło na nich. Wszczęła się krwawa bójka. Ciosy ciężkich pałaszy, spadające na żelazne hełmy, sprawiały zgiełk tak przeraźliwy, że Klarę dreszcz zimny przejmował.

—Ach! zawołał nakoniec dowódzca rabusiów, pałasz tego rycerza ostry jak błyskawica. Rzucił się na ziemię i czołgał się jęcząc; to samo uczynił i drugi, a reszta ocaliła się ucieczką.

Teraz zesiadł z konia nieznajomy rycerz, i zdjąwszy hełm, który dotąd miał na twarz spuszczony, zbliżył się z uszanowaniem do Klary i powitał ją uprzejmie. Klara poznała w nim rycerza Artura z Hohensteinu. Widziała ona go była raz w kościele w Wolfsbrun na odpuście, na który zjeżdżali się goście z oddalonych nawet okolic. Gdy Klara z matką wychodziły z kościoła, pozdrowił je rycerz bardzo uprzejmie, wszczął z panią Kunegundą rozmowę, zapewniając, iż ojciec jego był towarzyszem broni jej męża, i mówił zawsze o nim z wielką przyjaźnią i szacunkiem.

Biednej Klarze zdawało się, jakoby ujrzała Anioła pocieszyciela, gdy w tej chwili ukazała jej się twarz znajoma. Rycerz wyraził jej w dobranych wyrazach swą radość, iż mógł tak szlachetną dziewicę ocalić z rąk niecnych rabusiów. Klara prosiła go, by ją niebawem odwiózł do swojej matki. Lecz on odpowiedział jej, iż ztąd do Wolfsbrun jest przeszło sześć mil drogi, że on przypadkiem tu tylko przybywszy, sam nie wie, którędy się tam jedzie, i że zamek jego jest ztąd tylko pół mili drogi oddalony. Prosił ją więc, by się tam z nim udała, gdzie będzie mogła wygodnie przenocować u jego ciotki Gertrudy, pod której opieką może zostawać bez najmniejszej obawy o swe dobre imię. „Jutro, dodał, odwiozę cię z moimi ludźmi do matki, mieniąc się szczęśliwym, iż ci mogłem tę małą uczynić przysługę". Klara nie mogła się dłużej opierać. Rycerz posadził ją na swego konia, a że była za słabą, by kierować dzikim rumakiem, więc Artur prowadził go za cugle. Kilku giermkom rozkazał iść naprzód z pochodniami, innym zaś obwiązać rany towarzyszom broni, z których jedni leżeli, jęcząc, na ziemi, inni opierali się o skały.

Rycerz przybywszy przed stary, omeszały zamek, który przy blasku pochodni straszliwym się Klarze wydawał, zatrąbił w róg, a wnet łańcuchy zabrzmiały i spadł most zwodzony. Wszyscy jego ludzie przybyli na powitanie rycerza, i usłyszawszy dziwną przygodę, zatrwożyli się niemało, winszując nieznajomej pani cudownego ocalenia. Przedewszystkiem jednakże okazywała ciotka rycerza Ar-

tura największy współudział radości i wprowadziła Klarę za rękę do salonu, oświeconego mnóstwem jarzącego światła.

Salon ten był wytwornie urządzony. Ściany obite były kobiercami kosztownej roboty, i ozdobione obrazami rycerzy w starożytnych zbrojach. Stół był nakryty do wieczerzy, a mnóstwo kosztownych naczyń znajdowało się na nim. Przyniesiono natychmiast trzecie nakrycie dla Klary, i pomimo jej wzbraniania się, posadzono ją na pierwszem miejscu. Częstowano ją jak najuprzejmiej, a pani domu nazywała ją swą córką.

Gdy wstano od stołu, zaprowadziła pani Gertruda Klarę do innego, z równym przepychem urządzonego pokoju. I tutaj były ściany pięknemi, zielonemi tapetami obite, stół nakryty kwiecistym kobiercem, a krzesła wysłane i obite tkaniną kosztowną. Łóżko i szafa były z lśniącego orzechowego drzewa, kunsztownie wyrzynanemi arabeskami ozdobione. Pani Gertruda zapaliła dwie woskowe świece, które stały w srebrnych świecznikach, i uściskała Klarę na dobranoc.

Klara nie widziała jeszcze w swem życiu podobnych przepychów, jak w tym zamku. Wszystko co tu widziała, przejmowało ją podziwieniem i poszanowaniem. Jednak, gdy się teraz samą ujrzała, ustąpiło to podziwianie marności ziemskich szlachetniejszym uczuciom. Upadła na kolana i z niewymownem wzruszeniem dziękowała Bogu za swe cudowne ocalenie; myślała o swojej matce i modliła się za nią z głębi duszy, aż nakoniec zasnęła wśród łez słodkich, które jej radość z połączenia się wkrótce z kochaną matką wyciskała.

Zaledwie pierwsze promienia wschodzącego słońca oświeciły wierzchołki jodeł i gór szczyty, kiedy Klara, ubrana już zupełnie, stała przy oknie swej sypialni. Serce biło jej gwałtownie z radości na myśl, iż może już dzisiaj zobaczy swą matkę.

Jednak cała ta przygoda zupełnie była inną, jak Klara mniemała. Rycerz Artur, to sam kazał ją porwać swym ludziom, i by pozyskać jej zaufanie, udał, iż ją ratuje z rąk rabusiów, z którymi tylko na pozór toczono bójkę. Teraz przemyśliwał tylko, w jaki sposób mógłby ją zatrzymać najdłużej na swym zamku. Pani Gertruda zaś nie była ciotką Artura, lecz osobą z nizkiego stanu i podłego usposobienia umysłu, która w swej młodości niegodziwe prowadziła życie, a teraz miała pozyskać zaufanie Klary, by być pomocną Arturowi w uwiedzeniu młodej, niewinnej dziewczyny.

Ta więc udana ciotka weszła do pokoju, i życząc Klarze z wielką uprzejmością dnia dobrego, zaprosiła ją na śniadanie. Uprzejma pani wyrzekała bardzo, iż długo będzie potrzeba czasu do ich wyleczenia, i że nawet sam rycerz Artur odebrał ran kilka, o których tylko z grzeczności dla Klary zamilczał. Klara rozpłakała się, że dla niej, biednej dziewczyny, tylu dobrych ludzi krew przelać musiało, i z oczyma od łez wilgotnemi weszła do salonu, gdzie było przysposobione śniadanie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TANIE LECZENIE DOMOWE ROZMAITYCH CHORÓB.

(Ciąg dalszy.)

Nogietek ogrodowy, Calendulla, którego kwiat moczy się w winnym occie, w którym maczają się płatki i przykładają na skronie i pulsa w jadowitej i ciężkiej gorączce.

Oman ziele, po wsiach znajome, którego korzeń wzbudza poty, służy na kamień, kaszel, defekta maciczne i na świerzb....

Perz, na wilgotnych gruntach i jałowych, powyciągany i w cieniu ususzony, pokrajany i na zupę ugotowany, jest niezawodnym lekarstwem na kaszel lub suchoty, osobliwie gdy będzie w słodkiej serwatce gotowanym, i po dwa razy dziennie popijanym. Ten rozrzadza krew, służy na wątrobę, febrę i na puchlinę.

Pięciornik Pantaphilum Quinz-folium, rośnie po miejscach piaszczystych, ma na każdym prątku 5 listków podłużnych i ząbkowatych, a na wierzchu kwiat żółtawy także w pięciu listkach. Korzeń jego służy wewnętrznie na biegunkę i urynę krwawą, na kaszel i suchoty. Zewnętrznie pomaga na ból zębów, zapalenie ócz i na rany. Pietruszka zwyczajna, jak liście tak i korzeń służą żołądkowi, śledzionie i wątrobie, wzbudza nerwy i apetyt do jedzenia.

Podbiał, zielę, Fanfara Tussilago, rośnie na wilgotnych gruntach, kwitnie wcześnie na wiosnę, żółto; a gdy kwiat zginie, rosną liście duże i okrągławe, na wierzchu zielone, a pod spodem białawe. Całe to ziele jest skuteczne na piersi i na suchoty. Zewnętrznie przykładane liście pomagają na różą, wrzody i bolące brodawki piersiowe.

(Dalszy ciąg nastąpi.